Janina Łagoda

Rządzący podjęli się wycenić skutki klęski wrześniowej, przeliczając na złotówki nie zapłaconą dotąd przez agresorów fakturę krzywd. Szacunki często przerastają możliwości ludzkiej percepcji. Równie enigmatyczne pozostają rachunkowe wzorce zastosowane w tych kalkulacjach. Wątpliwości wiele, zaś refleksji i powściągliwości w licytowaniu się stratami brak. Smutne to aukcje, bo tyczą tragicznych zdarzeń sprzed blisko osiemdziesięciu lat. W werbalnym zgiełku zderzają się fakty historyczne otulone emocjami z realnością dnia dzisiejszego, tworząc nowe diaboliczne konstelacje o grawitacyjnej inercji. Smutne to teatrum, które tak wówczas, jak i dzisiaj nie wzmacnia głoszonej idei mocarstwowości.

W reparacyjnym tyglu

Hasło wyartykułowane przez prezesa prawej i sprawiedliwej partii podczas Kongresu Zjednoczonej Prawicy (Przysucha, 1 lipca 2017 r.) o należnych nam reparacjach wojennych stało się nakazem dla podjęcia szaleńczych czynów przez jego pretorianów. Z marszu rozwinęli przesłanie guru, ważąc elektorską strawę na ogniu fantazyjnych kwot, stwarzając aurę jakoby to oni już je dzierżyli. Należności przekroczyły bilion dolarów. Rekordową sumę, jak dotąd, oznajmił minister od spraw wewnętrznych, totumfacki prezesa. Rewelację tę wykrztusił w Radiu Maryja i Telewizji Trwam, nadając jej niemal ewangeliczny wymiar. Jak zwykle w takich sytuacjach, problemem pozostaje przeistoczenie pragnień w brzęczącą monetę. Jednostronne wzruszenie traktatowo już zamkniętych reparacji wojennych i to bez wcześniejszych międzyrządowych konsultacji z potencjalnymi płatnikami, ale również z potomkami aliantów, do których i nasi przodkowie należeli, bo to oni zdefiniowali ówczesny taryfikator należności, można jedynie oceniać w kategoriach prowokacji rzutującej na dobrosąsiedzkie układy. Panujący pętlą się w lianach przeszłości, zaś perspektywę dostrzegają na enigmatycznej wyspie niezawisłości, przebijając w tym punkcie nawet Robinsona Crusoe, który po latach nieograniczonej wolności, zweryfikował swoją wizję swobody i wrócił na łono dawnej wspólnoty. Młodzieńcza to wprawdzie lektura, ale można z niej wyciągać poprawne wnioski, chyba że reforma edukacji i w tym punkcie pobłądziła.

Problem jest głębszy, bo licytowane kwoty odszkodowań na umęczoną głowę rodaka, który w miesięcznej przeciętności inkasuje niewielkie sumy, jest propozycją kuszącą i karci jakąkolwiek krytykę nawet iluzorycznego bogactwa, wzmacniając ufność dla rządzących. I nie ma znaczenia, że to ułuda.

Odgrzana reparacyjna myśl może by i nie szokowała, gdyby merytoryczną analizę wszczęto w zaciszach gabinetów i z dochowaniem dyplomatycznych negocjacyjnych standardów. Nic takiego się nie stało. Górę wzięły populistyczne nadzieje zakleszczone w plebiscytowym trybie: za lub przeciw odszkodowaniom, wzniecając powszechną dyskusję, tak jakby wojna światowa przed chwilą się zakończyła, a my byliśmy jedynymi zwycięzcami i zarazem poszkodowanymi. Zapominamy, że w tej hekatombie uczestniczyło blisko sześćdziesiąt państw, które w różnym wymiarze ponosiły jej skutki. Kalkulacje naszych polityków, to inny, bo polski kram na międzynarodowym targowisku, przy którym nie ma miejsca na wątpliwości, a już na pewno na traktowanie sprawy jako dawno załatwionej.

Wzruszono umysły wielu rodaków, także tych dotąd politycznie obojętnych. Wspólnym

mianownikiem roztrząsanego problemu, stała się jedynie inwokacja, że w wyniku wojny ponieśliśmy ogromne straty moralne, biologiczne, materialne etc., bodaj największe, bez należnych rekompensat. I w tym momencie kończy się konsensus, a rozpoczyna się narodowa ścieżka waśni. Tworzony jest dramat, który ma przeistoczyć dawną klęskę w sukces i to po najkorzystniejszym dla nas walutowym kursie. Smutne jest to, że w tych harcach uczestniczy także znacząca część opozycji, miksując głosy rozsądku z polityczną presją rządzących w stylu: tak, ale... Ginie wyrazistość, a pojawia się perspektywa mydlanej nieszczęśliwości Cypriana Zabłockiego (1792-1868). Wszystko to dzieje się w przestrzeni publicznej na obszarze Rzeczpospolitej, której powojenne granice, wyznaczone przez obcych, nie są dźwiękochłonne. Pogłosy wewnętrznych rozterek już trafiły w międzynarodową przestrzeń, budząc zdumienie partnerów, którzy przestają pojmować format politycznej odnowy Polski. Na próbę zostały wystawione przyjaźnie. Kroczymy ku samotnej enklawie w środku Europy. Taką marszrutę obrał prezes rządzącej partii, uszczegółowiając ją swoimi przemyśleniami publicznie oznajmianymi m.in. podczas comiesięcznych egzorcyzmów przed dawnym miejscem pracy swego śp. brata – prezydenta. Problem w tym, że rządzący krajem politycy nie mają pojęcia, jak przełożyć wybujałą koncepcję o wyspiarskim autarkizmie na materialną, ale i wypełnioną wolnością, tolerancją etc. szczęśliwość narodu. Technicznego oprzyrządowania do wdrożenia wymarzonej utopii brak. Świat, również ten zaoceaniczny, a nade wszystko najbliżsi sąsiedzi wnikliwie obserwują intelektualną ekspresję prezesa, i jak na razie, wstrzemięźliwie reagują.

Niemieckie zdziwienie

Okazuje się, że potrafimy otwierać reparacyjne annały, które inni już dawno złożyli w archiwach. Podnieśliśmy rwetes bez przedłożenia nowych faktów wzruszając powojenne ustalenia wbrew rzymskiej zasadzie, że nie można dwa razy orzekać w tej samej sprawie bez istotnych nowych dowodów (ne bis in idem). W emocjonalnym rozpędzie rządzący rzucili na sekcyjny stół dawne ustalenia globalistów, krasząc swój czyn perspektywą poprawy zamożności narodu. Wiecowe zawołania najczęściej zastygają w próżni i rzadko kiedy stanowią prostą transmisję do masowej satysfakcji. Lubimy się stroić równocześnie w szaty zwycięzcy i pokonanego, a wychodzi z tego strój arlekina o estetycznie wątpliwym odczycie. Ale Polak odważny jest i nie takie despekty przezwycięża.
Władcy, wrzucając w publiczną przestrzeń rzekomo należne nam reparacje wojenne otworzyli glinianą beczkę Pandory. Na jej dnie wprawdzie znajduje się baśniowa nadzieja, ale dotąd nie znaleziono sposobu na jej zgruntowanie. Skutek taki, że podrażniono już mocno wybujałe rodzime animozje, stwarzając iluzję płynięcia w bezpiecznym kapoku, lekceważąc termin jego ważności.
Sprawa to poważna i nie sposób ją załatwić w trybie wiecowej drabinkowej ekspozycji. Głównym adresatem pretensji jest nasz zachodni sąsiad, który długo trwał w milczeniu, zaś publiczna reakcja kanclerz RFN była tyle skromna, co dyplomatycznie finezyjna. Nie znamy szczegółów maltańskiej rozmowy prezydentów: Polski i Niemiec w tej sprawie (4.9.2017 r.), ale wstrzemięźliwy komunikat ze spotkania winien otrzeźwić partyjnych harcowników (fighter´ów). Zamiast dzikiego ringu należałoby postawić na pragmatyzm studzący utopijne zawołania prezesa o uszczęśliwianiu rodaków kosztem podatników innego państwa, ale nade wszystko trwonienia dotychczasowego dorobku polsko-niemieckiego pojednania.
Enigmatyczność rozmowy prezydentów nieco rozjaśnia późniejsza wypowiedź szefa niemieckiej dyplomacji (do niedawna stanowisko to piastował obecny prezydent RFN),

stwierdzając że polskie roszczenia reparacyjne mogą boleśnie ugodzić w bliskie i dobre relacje polsko-niemieckie. Komunikat prosty, bez natłoku subiektywnych wymyśleń. Godna to podziwu dbałość o rację stanu państwa, a już trudno skwantyfikować opinię wyrażoną w tym kontekście jednego z naszych ministerialnych polityków, że nie będą nas uczyć demokracji potomkowie zwyrodnialców. Rządzący nami chyba cierpią na deficyt moralnych wartości. Ich wyobraźnię do reszty przysłoniła myśl traktowania sąsiada zza Odry, jako kraju nadal podsądnego. Wszystko też wskazuje na to, że miejscem przyszłego procesu będzie nie Norymberga, Poczdam etc., lecz Warszawa z własnym składem orzekającym i słusznymi tezami wyroku. Nie po to obóz rządzący reformuje sądy, aby przegrywać procesy. Problem w tym, czy na rozprawie pojawi się oskarżony, a jeszcze większą niewiadomą pozostanie egzekucja werdyktu prawdopodobnie korzystnego dla nas. Komorników mamy znamienitych, ale czy tym razem sobie poradzą z niemieckimi traktorami? Nie wybiegajmy aż tak daleko.

Niepokojące odruchy rządzących

Niemcy, tkwiąc w racjonalnej pokorze, przyjęli na siebie niesmak czynów swoich przodków. Dokonali, prawem cyfrowanych, publicznych indywidualnych rozrachunków, także w wymiarze zadośćuczynienia tym, którzy ucierpieli. Zwycięzcy to zaaprobowali, a do nich i nas dopisano. Dzisiaj tamte ustalenia rewidujemy w stylu ułańskiej szarży, ale bez merytorycznych argumentów i przyzwolenia ze strony prawnych następców Wielkiej Trójki. Trzeźwym osądem tamtych lat zawładnął rodzimy bezwzględny, demagogiczny egoizm wtłoczony w wykresy partyjnego poparcia. Interes Rzeczpospolitej trafił w sferę wiecowych zawołań. Hasło nierezygnowania z reparacji stylem przypomina buńczuczność Józefa Becka (1894-1944) o nieoddaniu nawet guzika, wyartykułowana w Sejmie RP w dniu 5 maja 1939 roku. W krótkim czasie utraciliśmy kraj, a optymizm przedwojennego ministra odrodził się po klęsce w skorygowanych patriotycznych intonacjach: Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie. Autor, Alojzy Feliński (1771-1820) tekst ten wprawdzie popełnił na cześć cara i króla Królestwa Polskiego (Kongresowego), ale jak się okazuje, w różnych domorosłych parafrazach jest nadal żywy, np. tej prezydenckiej z 2016 roku: ojczyznę dojną racz nam zwróć Panie. Oby odnowiona reparacyjna myśl nie musiała szukać oparcia w kolejnych wariacjach tego kantyku.
Odszkodowania wojenne rzucone w przestrzeń publiczną, to zła wiadomość dla Polski i Polaków chociażby z tego powodu, że interpretowanie dawnych zdarzeń wedle dzisiejszych politycznych kryteriów, musi wieszczyć powikłania, tak w krajowym jak i międzynarodowym wymiarze. Prawna chronologia zdarzeń w tym merkantylnym tyglu jest doskonale znana od chwili uzgodnień poczdamskich w 1945 roku. Wynika z nich, że odszkodowania otrzymamy nie wprost od państwa niemieckiego, ale od Związku Radzieckiego w wysokości 15% tego, co on otrzyma od pokonanego. A dalej był rok 1953, kiedy to zrzekliśmy się odszkodowań od Niemiec. Następnie rok 1970 i układ o podstawach normalizacji stosunków z Niemcami zachodnimi. Później list premiera Mazowieckiego i kanclerza Kohla z 1989 roku bez napomknięcia o reparacjach. Także traktat 2 + 4 kończący zimną wojnę, który ratyfikowaliśmy w 1990 roku, nie wzmiankował o odszkodowaniach, ale dawał możliwość indywidualnych wypłat na rzecz ofiar nazistowskich prześladowań, z czego rodacy skorzystali. Wszystko to, co państwo polskie od powojnia czyniło było niczym innym, jak wzmacnianiem naszych granic, a to też kosztuje. Nie wolno zapominać i o tym, że zachodnie mocarstwa okupujące Niemcy: USA, Wielka Brytania i Francja zrzekły się reparacji.
Schematyzm rozumowania dzisiejszych krajowych władców o naszych wierzytelnościach jest

niepokojący. Może skutkować epidemicznym przerzutem na graniczne ustalenia, tak wschodnie, jak i zachodnie, a one w historycznej retrospekcji nigdy nie były stabilne i zawsze wymagały pielęgnacyjnych zabiegów. Także ta południowa skrywa zadawnione pretensje (np. Zaolzie, zajęcie Spiszu i Orawy przez Słowaków w 1939 r. etc.). Ale i Bałtyk nie omijają sztormy. Woluntaryzm warto byłoby zastąpić roztropnością. Nie jest to jednak sarmacki duch. Nadal górę bierze partyjna buńczuczność.
Wojnę przegraliśmy w sprinterskim tempie, a status dzisiejszego państwa podarowali nam zwycięzcy i w geście dobrej woli dokooptowali nas do alianckiego klubu. W granicznych przetargach nasz udział był symboliczny i zakleszczał się w internacjonalistycznym haśle za naszą i waszą wolność, prawdopodobnie autorstwa Joachima Lelewela (1789-1861). Dzisiaj rozcieńczamy sprzymierzeńcze lepiszcze strofując nie tylko wyzwolicieli-sojuszników z dawnych lat, ale i pokonanego, który po wojennym wstrząsie i mentalno-gospodarczej renowacji promieniuje demokratycznymi formami zarządzania państwem z równie wygórowanymi sukcesami gospodarczymi, a co najważniejsze okazuje nam życzliwość. Nasz niedosyt ma inne wymiary. Koncyliację wypełniamy farszem wypichconym wedle rodzimej receptury, a to nie zawsze smakuje innym.

Reparacyjnych dylematów ciąg dalszy

Decyzja wiodącej partii podjęta w wiecowym stylu w imię zatroskania o materialny interes państwa i obywateli jest bałamutnym zabiegiem upstrzonym pustosłowiem, lecz trafiającym w serca elektoratu mamionego enigmatycznymi profitami. Iluzja o równoważeniu niedosytu płynącego z klęski II RP reparacjami stała się nakazem dla przybocznych prezesa. Światłowód skonstruowany przez myślicieli z warszawskiej Nowogrodzkiej skrzętnie omija słabości przedwojennej RP, usiłując dodatkowo przykryć je ekspozycją rzekomych sukcesów dobrej zmiany z iluzorycznymi reparacyjnymi profitami w tle. A to wieszczy nieszczęście chociażby z tego powodu, że pomylono adresata roszczeń, tj. RFN z Rosją, prawną spadkobierczynię Związku Radzieckiego. To stamtąd, jeśli już, winny pochodzić reparacje. Tak to ustalili Wielcy. Rządząca partia chyba popadła w turbulencje tracąc bezpieczny kurs. Przyczyn tego nie znamy. Domniemywać można, że kontakty z zachodnim sąsiadem jeszcze nie dogorzały i można je nadal dewastować, zaś dyplomatyczne relacje ze wschodnim mocarstwem zostały doszczętnie wypalone.
A to właśnie z tamtej strony, jeśli już, należy oczekiwać profitów tym bardziej, że wedle niektórych patriotów okupacja dobiegła kresu dopiero w 1989 roku, a w nieśmiałych sugestiach nawet w 2015 roku. Uczeni od logiki, historii, prawa, ale i psychiatrii chyba dotąd takiego przypadku nie roztrząsali.
Wszystko to dzieje się na trakcie Wschód – Zachód, tj. Autostradzie Wolności, jak ją kiedyś (4.6.2014 r.) kordialnie nazwał ówczesny prezydent RP lekceważąc fakt, że w historycznym przekroju za korzystanie z niej, to nie my pobieraliśmy opłaty, lecz płaciliśmy wygórowaną daninę za trwanie w buforowym styku. Problem w tym, że rządzący nami, tkwiąc w owczej koszarze brną w bacowską swobodę, która sprawdza się jedynie na smaganych wichrem halach, ale już mniej w nizinnych dyplomatycznych salonach, dokąd z trudem przenika życzliwy głos ludu. Pozostał więc obywatelski sprzeciw wobec zapędów rządzących, które lokują Polaków na pustkowiu. Inne narody się bratają, a my fundujemy sobie waśnie i różańcową obronę granic RP. Jesteśmy jedynym państwem europejskiej wspólnoty, które żąda daniny od obywateli innego unijnego kraju. Na domiar złego pomylono kody adresowe Niemiec i Rosji, a

wystarczyło otworzyć na właściwej stronie rządowe dokumenty oraz atlas naszego znamienitego rodaka, geografa i geopolityka Eugeniusza Romera (1871-1954), aby uzmysłowić sobie lichość odgrzewanego hasła o należnych nam odszkodowaniach.
Odnowioną wizję reparacyjnych wierzytelności panujący potraktowali, może bezwiednie, jako szarżę na przyjazne nam unijne państwo. Podnoszenie tak wrażliwej kwestii bez rzetelnych analiz, to w dyplomatycznym żargonie budowanie samobójczego szafotu i korodowanie brukselskich więzi. Dołożenie do tego wietrzonego rosyjskiego zamachu na naszą niepodległość spowodowało, że
z własnej woli znaleźliśmy się w matni, a pętla izolacjonizmu wokół nas się zacieśnia. Inni też szanują własną historię, ale nie przysłaniają nią dnia dzisiejszego.
W polskim kotle jest inaczej. Paradoksem jest to, że nadal stanowisko Moskwy ma znaczenie dla granicy na Odrze i Nysie. A na marginesie, sięgając w nieodległą historię, nie sposób pominąć ogłoszoną przez Radę Komisarzy Ludowych Deklarację Praw Narodów Rosji z dnia 15 listopada 1917 roku i sporządzoną w związku z nią w sierpniu 1918 roku listę unieważnionych przez bolszewików dawnych aktów rozbiorowych zawartych przez carat z Prusami i Austrią w sprawie Polski. Ważny to element w odzyskiwaniu przez Polskę niepodległości, którego nie przykryją rusofobiczne zaklęcia i prowokujące hasła reparacyjne. Stuletnia historia naszej Niepodległości, to wielowątkowa proza przecięta okupacyjnym niebytem i kolejnym odrodzeniem, także z woli innych. Rodzimi gracze o tym zapominają, zaś skromność w polityce, to ważki przymiot.

***

Urojony dyskurs o zalaniu rodaków mamoną pochodzącą z reparacji wojennych ma drugie oblicze zwane stabilnością granic. Rządzący nacisnęli spust o granicznym, rewizyjnym dyskursie. Samobójcza to inicjatywa, bo układająca się w poprzek niepodległościowych absolutów głoszonych przez rządzących. Walka o miedzę, to wprawdzie wieśniaczy spór, ale jego dzisiejsza edycja nabrała mocy państwowego patentu z powiewem bagiennego zaduchu. Okrzyki o wyzwalaniu się z kompleksów historią znaczonych nie współgrają z popadaniem w izolacjonizm. Ten wywód prezentowany w Krakowie przez prezesa prawej i sprawiedliwej partii w dniu Święta Niepodległości jest ważny, ale tylko dla wewnętrznych elektorskich rozgrywek bez przełożenia na wzmacnianie międzynarodowego prestiżu Najjaśniejszej.
Posadowienie geodezyjnych granic naszego państwa, to rezultat politycznych kalkulacji Mocarstw, a dopiero w oddali zasługa rodzimych polityków. Na niewiele też zdają się buńczuczne enuncjacje, że każdy potencjalny agresor polegnie przy naszej granicy, bo armię mamy mieć ogromną. Nadal jednak nie wiadomo jak uzbrojoną; oby nie na modłę II RP, kiedy to owies miał powstrzymać czołgi wroga. Nawykowo więc brniemy zgubnym traktem. Dyplomacja, a nie militarne akcesoria winna być dla nas najważniejszym orężem ubezpieczającym trwanie w położeniu tranzytowym. Pora więc wyciągnąć wnioski z historii. Rządzących nie ostudził prysznic zagranicznych afrontów. Nadal fascynują się aktywnym udziałem w wewnętrznej politycznej bijatyce. W dobie interaktywnej komunikacji świat to swobodnie postrzega bez potrzeby korzystania z donosicielskich przysług, którymi rządzący obwiniają opozycję. Odgrzewane na krajowym oleju wojenne reparacje, mające w zamyśle utrwalić wskaźniki partyjnego górowania przyćmiewają polityczną uczciwość. Każdy naród ma własne problemy, zaś naród zmęczony bierze rozbrat z własnymi wartościami, jak zauważył Emil Cioran (1911-1995).

Janina Łagoda